Nr. 18. We Lwowie dnia 2. maja 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

NAD PRZEPAŚCIAMI.

V.

Ponad olbrzymie baszty skał,
Nad śmierci mgławe cienie,
Duch się unosi — duch, co miał
Wieczności przywidzenie.

Wzniósł się, jakgdyby w blasku zórz,
Nad przepaść, nad głęboką,
A tam od dołu innych dusz
Ciche się widma wloką.

Pną się w promienny, stromy szczyt,
Nad żleby, ponad granie —
W górę, gdzie wieczny dzierży byt
Nad śmiercią panowanie.

Tak się leniwie pną w ten smug,
Z słonecznych skier utkany,
Jakgdyby miały u swych nóg
Ciężary i kajdany.

Tak się czepiają ostrych ścian,
Tak przytem kurczą ręce,
Jak pod wrażeniem krwawych ran,
Jak w boleściwej męce.

Tak odwracają błędny wzrok,
Snać bielmem przysłonięty,
Jakgdyby wrogów czarny tłok
Nastawał im na pięty.

Nieraz się potkną, tak się pnąc
Tą przepaścistą percią,
Opiłe winem szczytnych żądz,
By górę wziąść nad śmiercią...

Nieraz się potkną — wtedy śmiech
Rozlega się w przestworzu
Tysiącem strasznych, dzikich ech,
Jak echa burz na morzu.

Jak przeraźliwe echa burz,
Gdy z nieb padają gromy,
A wielkie statki idą już
Na drzazgi i na złomy.

To śmierć wysłała z swoich nor
Widm rozpętane moce
Na ten urwisty, skalny tor,
Skąd wieczny byt migoce:

To niepewności straszny ptak
Bije ciemnemi pióry,
Cień jego pada na ten szlak,
Co wiedzie w jasne góry.

Wyrzut się zrywa niby szał,
Zadaje duszom razy,
Że obłamują kwiat swych ciał
O te krzemienne głazy.

Że pnąc się w sfery marnych złud,
Nie pomną w swej podróży,
Że ten nadludzki, płonny trud
Rozkwitom ciał nie służy...

I wraz świadomość w ślad tych mąk,
Niby potworna żmija,
Ten swój oślizły pręży krąg,
W dusze się żądłem wpija.

Wpija się w duszę olbrzym wąż,
Ze swojej rad zdobyczy,
Wyrywa wszystką siły miąż
I syczy, syczy, syczy:

Syczy, że wieki ziemski lud
Wyprawiał swe wybrańce
Do tych tajemnych życia wrót,
Na te zawrotne krańce.

I że już długich wieków wiek,
Wspinając się daremnie,
Upadał w przepaść słaby człek,
W jej nieprzejrzane ciemnie.

Że do padolnych tylko niw
Przyrosły byt człowieka:
Tu on kwitnący, tu on żyw,
Aż — końca się doczeka...

I syczy, syczy potwór-gad
Na tej przepastnej perci,
Że wszystko: człowiek, zwierz i kwiat
Podlega jednej śmierci.

Że śmierć nad wszystkiem tron ma swój,
Owity w groźne cienie,
Że zmienia wszystko w rozkład, w gnój
I w mrok i w zapomnienie.

Tak syczy... syczy.. na ten syk,
Wijący się u zboczy,
Trwoga wyrzuca z siebie krzyk,
Z ust białą pianę toczy.

Rozpacz, idąca, niby straż,
W ślady błędnego grona,
Wykrzywia z śmiechu bladą twarz,
Wykręca swe ramiona...

(Dok. nast.). *Jan Kasprowicz.*

Kartki naukowe.

DZIEJE ŻYCIA NA NASZEJ PLANECIE.

W jednej z poprzednich „Kartek“ pisaliśmy o tem, jak nauka tłumaczy ukazanie się pierwszych żyjących istot na ziemi i mówiliśmy, że przypuszczać należy, iż powstały one z materji mineralnej, która stopniowo się przekształcała, aż stała się materją organiczną; ta ostatnia znowu ulegała rozmaitym zmianom, aż w końcu zatliła się w niej iskierka życia. Przedmiot ten opracowaliśmy zresztą obszernie w innych artykułach, do nich też odsyłamy osoby pragnące bliżej zapoznać się z tą kwestją *).

Tłómaczenie powyższe oparte jest jedynie na przypuszczeniach naukowych, gdyż z natury rzeczy nie możemy przytoczyć żadnych dowodów na poparcie tej kwestji, i z żalem wyznać musimy, iż prawdopodobnie kwestja ta zawsze opartą będzie jedynie na hypotezach.

Ale w nagrodę za tę lukę nauka w najnowszych czasach dostarczyła nam dowodów, świadczących wymownie, jak życie rozwijało się następnie na ziemi; jakie rośliny i zwierzęta żyły na naszym świecie przed tysiącami i miljonami lat!

Tak jest, przed miljonami, gdyż wiemy już teraz z badań geologicznych, że świat nasz

*) Patrz »Życie i śmierć w przyrodzie« (Ateneum, Wrzesień 1894 r.), oraz »O teorji samorodstwa« (Przegląd Tyg. Dodat. kwart. II., 1896 r.).

Moi przyjaciele za-uralscy.

(Z notatek wygnańca).

(Ciąg dalszy.)

— To samo, i nas spotkało — za to nas zesłano... — Słuchajcie, Kirgizy! Jest daleko ztąd ziemia tak wielka, jak step kirgizki, na niej miasto większe, niż Kazań, a święte, jak wasz Azret — tam wszyscy nasi mieszkają... Chan moskiewski zabrał nam ziemię, czynowników swoich kazał słuchać, a kto idzie przeciwko jego woli, tego tu i dalej — zsyłają!... — Ale Bolak wciąż się buntuje... Kirgiz także powinien buntować!...

Wśród słuchających ze zdumieniem słów moich Kirgizów powstał zamęt. Na wspomnienie krwawej wyprawy ich ojców przeciwko Chanowi Północy odżyły w synach stepu dawne rany, przypomniały się świetne dni chwały i nadziei, kiedy Kirgiz bohatersko stawał w polu i mierzył się z wrogiem oko w oko, a nie, jak dziś, znienacka podchodził i kradł jego tabuny.

Wszystkie tradycje plemienia rzuciły się na nich, jak huragan stepowy, i, jak on, rozhukały ich dusze.

Oczy zaczęły się im iskrzyć złowrogim połyskiem, brody trzęsły się, zęby zgrzytały, ręce szukały czegoś za pasem...

Dzika natura niegdyś panów tych stepów, oddanych teraz na pastwę wrogom, zaczęła występować na jaw, burzyć się i pienić.

Naraz wśród ogólnego poruszenia ozwały się, naprzód ciche, urywane, niepewne, jak skomlenia psa, dźwięki bałałajki... potem coraz mocniejsze, gwałtowniejsze, dzikie, zmieszane, pełne grozy, popłochu, łkań i zgrzytu: to Achmet grał marsza Pierowskiego... Wszyscy skamienieli na chwilę. Ach! ten marsz, te dźwięki szatańskie, wszak w nich cała otchłań bólu zawartą była dla słuchaczów! Ten marsz, to *requiem* zgniecionego narodu, szarpiący łono krzyk konającego — wydany przez dzieci stepu w dniach smutku i niedoli, po strasznym

jest bardzo starożytny, że przeszłość jego tonie w mgle wieków niezliczonych. Co się działo na ziemi w tak odległej przeszłości? jak wyglądały, ówczesne żywe stworzenia? Od jak dawna istnieją ludzie na świecie? Właśnie o tem wszystkiem mówić dziś zamierzamy.

A najprzód, skąd czerpiemy nasze wiadomości o tem, co się działo na ziemi w tak dawno minionej przeszłości? Odpowiedź na to łatwa: dzieje ziemi odczytujemy badając pokłady, z których składa się jej skorupa, a w pokładach tych znajdujemy, mnóstwo skamieniałych zwierząt oraz roślin: porównujemy je z teraźniejszymi gatunkami i widzimy, czy są podobne, czy też odmienne od nich. Nauka o skamieniałościach (paleontologja) powstała niedawno, a założycielem jej był wielki uczony francuski, Cuvier (1769- 1832). Zdziwienie powszechne było niezwykłe, gdy odkryto, że w ziemi zagrzebane są jakieś dziwne olbrzymie stworzenia; zaczęto odtąd robić poszukiwania ze wszech stron i przekonywano się coraz więcej, że w skałach znajdują się zwierzęta i rośliny często niepodobne do teraźniejszych, a im głębiej zagrzebane są w ziemi, tem są mniej podobne do obecnie żyjących.

Na mocy tych rzeczywistych spostrzeżeń Cuvier wygłosił mylną teorję o stworzeniu świata. Według jego nauki świat był stwarzany i niszczony po kilka razy. Stwórca, powoławszy do życia pewną ilość zwierząt i roślin, pozwalał im istnieć czas jakiś; potem, niezadowolony ze swego dzieła, burzył je doszczętnie i stwarzał świat nowy odmienny od dawnego i zachowywał go, aż dopóki znowu nie sprawił na ziemi strasznych przewrotów, podczas których cała ziemia jakoby się trzęsła i pękała, góry się waliły, a morza występowały ze swych łożysk i szerzyły spustoszenie. Znajdowane w ziemi skamieniałe zwierzęta miały być ofiarami owych przewrotów.

Taka dramatyczna przeszłość naszej ziemi żywo przemawiała do wyobraźni wielu osób i nauka Cuviera rozpowszechniła się szybko. Było w niej jednak wiele przesady, gdyż, jak się później przekonano, dzieje ziemi rozwijały się nie burzliwie, lecz powoli i harmonijnie, a wielkie przewroty ogarniały na niej jedynie niewielkie przestrzenie i bywały prawdopodobnie równie rzadkie, jak i za naszych czasów.

Gdy zmieniły się poglądy na przeszłość ziemi, zaczęto zapatrywać się inaczej na znaczenie zwierząt kopalnych, znajdowanych w łonie ziemi. Od lat trzydziestu paleontologja weszła na zupełnie inne tory i wyświetliła już mnóstwo kwestji, dotyczących ewolucji zwierząt i roślin. A ponieważ jestto nauka tak młoda, możemy przeto spodziewać się, że w miarę swego rozwoju oświecać nam będzie, jak pochodnia, ciemne dzieje świata starożytnego. Zobaczmyż teraz, jakich wiadomości dostarczyła nam paleontologja w ostatnich latach, i posiłkować się przy tem będziemy głównie pracami Alberta Gaudry, znakomitego paleontologa francuskiego.

Wiemy już, że zwierzęta istnieją na ziemi od tak dawnych czasów, iż wyobrażenie o tej starożytności przechodzi nasze pojęcie. Ukazawszy się na ziemi, zwierzęta odtąd nieprzerwanie na niej żyły i przetrwały aż do naszych czasów, chociaż podlegały rozmaitym zmianom. Zdumiewać nas może, iż przez tak

---

pogromie zbuntowanych plemion przez wodza Moskali, Pierowskiego.

Jakaś rozpacz dzika, połączona z ekstazą, ogarniała biesiadników w miarę słuchania. Jedni zrywali się z miejsc, brali głowy w dłonie i wyli jak hijeny na cmentarzach, jak szakale, inni kumysem bardziej spici, tarzali się po „jurcie“, wydając jęki opętańców, płacząc, zgrzytając zębami, kopiąc nogami ziemię; rzekłbyś: agonija wolnego ducha stepu...

A Achmet wciąż grał, wciąż targał namiętnie dwustrunne narzędzie, sam grą i wspomnieniami porwany, natchniony, ze wzrokiem błędnym, roziskrzonym... proroczym — istny bard-Wajdelota swego plemienia. Szał zwolna ustawał... Dusze wzburzone pojękiwały i milkły nagle, by dzieci niańką uspokojone — gra Achmetowa słabła i snać mistrz sam znużył się nią ostatecznie.

Dzieciaki, strwożone zgiełkiem, powciskały się w kąty „jurty“ — psy gryzły pośpiesznie kości baranie — zresztą wszystko w milczeniu było pogrążone. Wśród niego ozwał się głos Achmeta.

— A Kirgiz nie przepadnie. Ałłach, Bismillach!... Kozak — „wor“ — to i Kirgiz będzie „wor“... — Achmet nie będzie — to Murad, — syn Achmeta — będzie kraść konie — i nożem pruć brzuchy kozackie... — Bolak, brat... źle robisz, trzeba — psom chińskim kraść konie...

Zebrani wydali, okrzyk potwierdzający wyrok Achmeta i poczęli powoli wynosić się z „jurty“... Uczta się skończyła...

Gwiazdy roziskrzyły pogodny strop niebios...

Cisza niezmierzona zawisła nad „jurtami“; czasami tylko pies warknął przez sen, klacz żałośnie zarżała na pastwisku, kulik zakwilił przelatujący, lub jęk jakiś bolesny wyszedł z „jurt“ uśpionych...

Po tej uczcie stepowej nie widzieliśmy Achmeta przez kilkanaście dni z rzędu. Wydało się nam to dziwnem, w lecie bowiem często do nas zaglądał, przywożąc kumys.

Myśleliśmy już o tem, żeby go znowu na koczowisku odwiedzić, gdy pewnego wieczora,

długi przeciąg czasu życie nie wygasło na ziemi, tem bardziej, iż wiemy, że zwierzęta niszczą się wzajemnie. Ale wiemy zarazem, że w żywych istotach tkwi tak wielka siła rozmnażania się, iż przewyższa ona siły niszczące. Zauważyć tu jednak należy, iż pierwotne zwierzęta, które były mniej liczne, niż teraz, miały dwa warunki, sprzyjające ich rozwojowi; po pierwsze nie posiadały one tak wielu nieprzyjaciół, jak obecnie: a powtóre, były lepiej ukryte przed napastnikami. Istotnie, w pierwotnych czasach żyły przeważnie zwierzęta, okryte twardemi skorupami, tak jak teraźniejsze mięczaki i jeże morskie; nawet raki i ryby dawne uzbrojone były częstokroć w tak twarde pancerze, jak nasze żółwie. Wiele też gatunków ryb i jaszczurek miało na sobie kościane i lśniące łuski, jak nasze zęby. Zjadać zwierzęta, opancerzone w ten sposób, było zadaniem nie łatwem, trzeba było nieraz zadowolnić się pokarmem roślinnym.

Z biegiem czasu skorupy u wielu zwierząt stały się cieńsze, jak np. u teraźniejszych raków, a ryby, z wyjątkiem kilku gatunków, mają teraz łuski nie kostne, lecz cienkie rogowe. Ptaki i ssawce zawsze okryte były pierzem i włosami, ale też nie było ich w pierwotnych czasach, zjawiły się one na ziemi znacznie później.

Wspomnieliśmy już, że pierwotne zwierzęta posiadały mniej nieprzyjaciół, niż teraz; istotnie, w dawnych czasach było mniej zwierząt drapieżnych: większość zwierząt żywiła się roślinnością, drobne zaś mięsożerne zwierzęta morskie nie mogły sprawić wielkiego spustoszenia. Stopniowo, gdy życie zwierzęce było już w pełni rozwoju, niektóre dawne gatunki zwierząt roślinożernych stały się drapieżnemi, jak np. wiele ślimakowców morskich, co poznać można po kształcie otworu, jaki ma ich skorupa. Stopniowo pojawiły się też nowe gatunki drapieżnych zwierząt, a najstraszniejsze rabusie, do jakich zalicza się rodzina kotów, zjawiły się najpóźniej.

Wprawdzie wiemy, że w epoce tak zwanej drugorzędowej rozwielmożniły się na lądach i w morzach olbrzymie jaszczury, a większość z nich żywiła się mięsem, ale w owej epoce świat zwierzęcy był już daleko posunięty w swym rozwoju, prócz tego największe z tych potworów żywiły się roślinnością, inne obok mięsa jadły także i padlinę, co poznać można po ich zniszczonych zębach, podobnie jak to widzimy u teraźniejszych hyen. Wiemy zresztą, że zwierzęta zimnokrwiste jedzą znacznie mniej, niż ciepłokrwiste; tak np. w paryzkiej menażerji każdy krokodyl zjada dziennie przeciętnie po 300 gramów mięsa, wówczas gdy pantery i lwy w tejże menażerji zjadają po 5 kilogramów mięsa dziennie, i to bez kości? Różnica jak widzimy, olbrzymia. Dodać tu jednak musimy, że początkowo nie było również zwierząt, któreby tak niszczyły roślinność, jak teraźniejsze jelenie, sarny, króliki i inne. Sądząc po kształcie głowy i drobnych szczękach starożytnych jaszczurów roślinożernych dochodzimy do wniosku, że one nie były w stanie pożerać tak wielkiej ilości trawy, jak nasze słonie. I rzeczywiście starożytna roślinność bardzo obficie przechowała się w pokładach ziemi, co nie mogłoby nastąpić, gdyby w dawnych czasach żyły wielkie stada zwierząt roślinożerczych, jakie widuje się obecnie w Afryce i Ameryce. Na szczęście idące w ślad za nimi zwierzęta mięsożerne zmniejszają ich liczbę; gdyż inaczej gazele, antylopy itp. zwierzęta zniszczyłyby całkowicie roślinność, pustynie zwiększałyby się nieustannie, aż w końcu zabrakłoby pokarmu dla świata zwierzęcego.

Po tym ogólnym wstępie przystąpimy do opowiadania, jak się życie stopniowo rozwijało na ziemi.

Badania geologów dowiodły, że skorupa ziemska składa się z pewnej liczby warstw osadowych, leżących jedna na drugiej w takim porządku jak, kartki w książce; w niektórych tylko miejscach trzęsienia ziemi popsuły ten porządek i poprzewracały warstwy. Warstwom ziemi czyli pokładom nadano rozmaite nazwy w geologji. Przekonano się również, że pokłady, leżące najgłębiej w ziemi, są najstarsze, to jest powstały najwcześniej. Otóż zauważono, że najstarsze, bardzo grube pokłady nie zawierają żadnych kopalnych zwierząt. Czy zwierzęta nie istniały jeszcze w owej epoce, czy też istniały, ale szczątki ich rozsypały się w proch z po-

---

prawie przed północą, usłyszeliśmy pod oknami naprzód człapania stłumione nóg końskich, następnie lekkie pukanie w okiennice okna.

Zerwałem się z łóżka, zapaliłem świecę i podszedłem do okna; pukanie się powtórzyło, a wnet za nim, usłyszałem, dobrze mi znany głos Achmeta:

— Otwórzcie... słysz, brat Bolak — otwórz... „dzieło“ mam do was.

Otwarłem czemprędzej i ujrzałem lśniące się oblicze naszego przyjaciela, tym razem mniej pogodne, niż zwykle. Za pasem miał nóż myśliwski, na plecach, powiązaną sznurami, flintę... Już miałem go spytać, co go tak późno do nas zapędziło, gdy ozwał się cichym szeptem.

— A masz ty proch?

— Mam — odrzekłem.

— Dawaj, brat Bolak, zabrakło mi, teraz nigdzie nie dostanę... będzie mnie tej nocy potrzebny...

(Dok. nast.).

wodu gorąca, jakie w głębi ziemi panuje, nie wiadomo. Mówiliśmy już dawniej o tem, że w życiu naszej planety istniała gorąca epoka, w której żadne istoty żyć nie były w stanie; życie mogło rozpocząć się na ziemi wtedy dopiero, gdy już znacznie ostygło. Zauważyć tu jednak wypada, że najniższe organizmy zjawiły się zapewne na ziemi, gdy było jeszcze bardzo gorąco, gdyż, jak dowiadujemy się z najnowszych badań, pewne drobniuchne roślinki, zwane algami żyją gromadnie w gorących gejzerach w Parku Jellowstonie (w Ameryce), a woda w nich dochodzi do 85 stopni! Znaleziono te roślinki również w gejzerach w Islandji, a jednak woda bywa w nich tak gorąca, że w przeciągu pięciu minut jajko bywa zgotowane. Atoli delikatne ciała takich drobniuchnych istotek w wyjątkowych tylko warunkach przechować się mogą w stanie kopalnym. Być może tedy, że w najstarszych pokładach istniały one w tłumie, lecz zaginęły, nie pozostawiwszy żadnego śladu, że istniały.

Po tych warstwach pierwotnych następują pokłady, zawierające zwierzęta kopalne. Pokłady te podzielono na cztery epoki, zwane według ich wieku pierwszorzędową, drugorzędową trzeciorzędową, czwartorzędową, do tej ostatniej wlicza się epoka teraźniejsza.

Pierwsze kopalne zwierzęta okazują się zatem w epoce pierwszorzędowej, a mianowicie w pokładzie kambryjskim: w następujących po nim pokładach sylurvjskich, znajduje się już wielka obfitość rozmaitych typów, należących do bezkręgowych, oraz jest wiele gatunków ryb. Lecz nie spotkano w nich ani ptaków, ani ssawców. Żyły tu zatem przeważnie drobne zwierzęta, z wyjątkiem ryb, między którerni były gatunki, dosięgające pięciu metrów długości.

(Dok. nast.). *Dr. M. Stefanowska.*

EDWARD JELINEK.

KRASZEWSKI.

(Ze zbiorku „Odwiedziny Słowian.“)

Z czeskiego przełożył Dr. Fr. Krczek.

(Dokończenie).

Już wyżej napomknąłem, że odwiedzin u Kraszewskiego bywało mnóstwo. Rodacy przyjeżdżali zdaleka i zbliska, aby znakomitemu patrjocie w jego zaciszu złożyć uszanowanie i przynieść mu pozdrowienie z kraju rodzinnego. Zresztą i po za tem nie czuł się w Dreźnie zupełnie obcym. Kraszewski pozostawał zawsze w stosunkach przyjacielskich z kolonją polską, osiadłą na gruncie saskiej stolicy, a ta niejedną mu zgotowała chwilę przyjemną. Dawano polskie obaidy, podobne do przyjacielskich biesiad, na których i staruszek Kraszewski, odświeżony dawnemi wspomnieniami i otoczony nieudaną czcią i serdecznością swych ziomków, rad przepędzał parę godzin, „nie pracując“.

Miałem zaszczyt uczestniczenia w jednem takiem zebraniu. Odbywało się w górnych salach restauracji na terasie Brühlowskim, skąd roztacza się przed okiem uroczy widok dalekich, ożywionych brzegów Łaby.

Na obiad ten zaprowadził mię łaskawie sam Kraszewski i jak zwykle, przybył o godzinie oznaczonej tak punktualnie, że był gościem — pierwszym. Tutaj dopiero, w liczniejszem towarzystwie mogłem należycie poznać i ocenić przepiękną skromność znakomitego męża. Nie przyjął miejsca honorowego, które mu skwapliwie ofiarowano, i prosił usilnie, aby nieczyniono wielkich „ceremonji“. Jak zwykle nie wspominał o sobie ani słówkiem.

Równie uprzejmie zachowywał się wobec wszystkich i bardzo gorliwy brał udział w rozmowach. O wszystkiem wiedział i do wszystkiego umiał coś dodać, tu łagodny, serdeczny dowcip, tam szczerą prawdę. Rozmowa dotyczyła rzeczy wyłącznie literackich i towarzyskich — politykę zostawiono zupełnie na uboczu. Szczególnie ożywioną była rozmowa o myśliwstwie, sporcie dotychczas w Polsce tak gorliwie, a nawet namiętnie uprawianym. Wtedy i Kraszewski, rozjaśniwszy lice, zdał się być doświadczonym myśliwym, potwierdzał podstępy myśliwskie, wyliczał własności zwierzyny i ptactwa. Czasem się też wesoło „zakurzyło“, a w odpowiedzi na niedowierzania ozwało się zawsze, dobitne, znane: „Jak Boga kocham!“ Niemniej gorliwie rozmawiano o koniach, wreszcie zeszła rozmowa też na inne sporty polskiego życia szlacheckiego.

Po obiedzie rozdzieliło się towarzystwo na grupy i „gawęda“ jeszcze poufalsza popłynęła pełnem korytem. Towarzyszyły jej fortepianowe dźwięki narodowych melodji polskich. Wtedy zagościł na spracowanej twarzy Kraszewskiego wyraz szczęścia.

Wyszliśmy na balkon. Z polskich stron przynosił łagodny wietrzyk pozdrowienia. „Wieje od nas!“ rzekł Kraszewski mimowolnie i spojrzawszy w tym kierunku w błękit dalekich niebios, umilkł. Dumał — dumał o swym kraju na obczyźnie.

I jam się zamyślił, spoglądając spokojnie na nieznużonego pracownika na narodu roli dziedzicznej. W tej niewielkiej, zgarbionej już

nieco postaci, w tej twarzy zmarszczonej i zmęczonej, a jednak jeszcze ruchliwej i pełnej życia, w tej istocie cichej i skromnej — widziałem olbrzyma-pracownika.

* * *

Po Kraszewskim pozostała mi garść listów, które dostatecznie wyjaśniają sposób myślenia zmarłego nestora o narodzie czeskim. Niech mi będzie wolno z tych listów podać choć parę urywków.

Gdy zgubny pożar pochłonął czeski Teatr narodowy (*Narodni divadlo*), zachęcał Kraszewski gorliwie swych ziomków, „aby w bolesnej chwili pomagali braciom nad Wełtawą“. W tej sprawie ogłosił gorącą odezwę w *Wieku* i za jego staraniem przedstawiono też 16. sierpnia 1881 r. we Lwowie „Halkę“ na dochód teatru czeskiego. Tem bardziej cieszyło Kraszewskiego niespodziewane powodzenie ponownych składek, które usunęły skutki klęski. Pisał wtedy 5. października 1881 r. z Drezna: „Bóg łaskaw. Zapłakaliśmy nad klęską, która zniszczyła świątynię waszej sztuki narodowej. A wtem stał się cud! Klęska przemieniła się w tryumf! Naród wasz dowiódł, ile siły żywotnej ma w sobie i zadziwił nas swą ofiarnością. Sława Czechom! Spoglądamy na was z podziwem, bo czujemy zaprawdę, że niema narodu słowiańskiego, któryby stał na równi z wami pod względem ofiarności patrjotycznej“...

Po dwu latach Teatr narodowy wyrósł znowu, jak feniks z popiołu. Kraszewski nie mógł wówczas osobiście wziąć udziału w uroczystości jego otwarcia, ale przesłał do Pragi list treści następującej: „Sercem i duszą byłem obecnym na waszej uroczystości narodowej, o której powiadamiały mię czasopisma i o której mi później także uczestnicy jej z Warszawy rozpowiadali żywo, wspominając, jak tam wzruszyła mych ziomków braterska gościnność.

Teraz pozostaje wam rozwinąć w tym przybytku p r a c ę. Wymaga ona wiele wytrwałości i bezustannej czujności. Ale wam dał Bóg wielkie cnoty!... Głęboko wzruszon, rozmyślam o tym waszym tryumfie, który historja zapisze, jako świetną kartę w dziejach narodu czeskiego. Oby wam Bóg błogosławił we wszystkiem! Oby rozwój tej instytucji przyczyniał się do spotężnienia patrjotyzmu i wzmagał miłość języka ojczystego. Pomagaj Wam Bóg, mili bracia, a w chwili zwycięstwa nie zapominajcie o nas“...

Swój słowiański sposób myślenia wyraził w liście z r. 1883: „Obyśmy dożyli tej chwili, gdy w s z y s t k i e nasze bratnie plemiona, wzajem się szanując i kochając, podadzą sobie dłonie ku trwałemu związkowi, abyśmy mogli przyczynić się przynajmniej do założenia kamienia węgielnego wielkiej budowy przyszłości. Pan — szczęśliwszy snać plon niniejszych usiłowań swych będziesz zbierał, ja tylko nadzieją się pocieszam“... Innym razem znowu w sposób następujący wzywał do zgody: „Niech miłość nas łączy, niech miłość buduje, niech miłość błogosławi — bo bez niej niema nic, a przez nią zdobywa się wszystko“.

Ostatni list Kraszewskiego, który mnie doszedł, pochodzi z Włoch, z San Remo. Kończy się smutnem echem: „...Tu już ciepło i niejeden kwiat się otwiera. Ale o ileż piękniejszemi wydają mi się teraz nasze zaśnieżone okolice i nasze nagie topole... Zasyłam na ręce pańskie najserdeczniejsze życzenia na Nowy Rok tej całej ziemi bratniej, którą kocham, jak własną. Niech Bóg błogosławi!“

Temi wyrazami kończy się korespondencja Czecha z nestorem piśmiennictwa polskiego, korespondecja charakteru wyłącznie literackiego, której nie oszpecił żaden dysonans nieprzyjaźni...

Zofja Kowalewska.

Zwycięstwo wiosny.

(W streszczeniu).

Śnieg pada cicho, jednostajnie, bez przerwy. Duże, miękie jego płatki zlatują szybko, miarowo i tak zapełniają powietrze, że oko nic już zgoła rozróżnić nie może i widzi jeno puchową zasłonę, która łączy białą ziemię z jasno popielatem, nizko zwieszającem się niebem. Nawet las, olbrzymi, wiele dziesiątków mil kwadratowych zajmujący las zlał się z otoczeniem w chaotyczną całość. A tam, wewnątrz lasu głębsza jeszcze, bardziej grobowa panuje cisza. Zaspy śnieżne wznoszą się wyżej i wyżej, stuletnie pnie toną w białych puchach, a potężne konary zdają się wprost z ziemi wyrastać. Wszelkie objawy życia przycichły, zamarły. Kto wie, może nawet czas zatrzymał się w biegu, bo przejście szarego, matowego dnia w szarą śnieżną noc dokonało się bez dostrzegalnej zmiany: to samo światło dokoła, — światło matowe, fosforyczne, nic na prawdę nie oświetlające.

Ale oto białe płatki zaczynają stopniowo rzednąć. Zamiast duszącej masy puchowej, sypią się teraz z nieba lekkie, ruchliwe gwiazdki, tańcząc i wirując w powietrzu. Na tle nocy

występują sylwetki leśnych olbrzymów, w białą otulonych szatę. Na ziemi panuje wciąż jeszcze spokój i cisza, ale tam, w górnych warstwach powietrza ścierają się sprzeczne prądy i czarne olbrzymie plamy, mknąc szybko po niebie, zmieniają co chwila fantastyczne kształty, jakby gnane i rozrywane potężną siłą. Wtem jedna z nich zaczęła się mienić srebrem po brzegach, rozpękła się na dwoje i odsłoniła jasną, okrągłą tarczę księżyca, podobną do olbrzymiego oka sowy. Teraz ciemne plamy jęły topnieć, jak wosk i wkrótce nie pozostało już po nich ani śladu.

Niskie do niedawna niebo cofnęło się gdzieś daleko, wysoko, w niedościgłą dal, i oko z lękiem niemal wpatruje się w bezbrzeżne, księżycowym blaskiem zalane przestwory. Mróz tężeje. Lekka, lśniąca kora srebrzy się na zaspach, w powietrzu migają brylantowe okruchy. I teraz cicho dokoła, ale to już nie owa posępna, przygnębiająca cisza: znać, że ziemia na chwilę tylko zaparła oddech w piersi, wyczekując na coś nadzwyczajnego...

I oto nagle staruszka zima występuje na polanę z gąszczy leśnej. Ale jest-że zima staruszką? Nie, to tylko ostre języki ludzkie rzuciły na nią to oszczerstwo. Zima — to wspaniała niewiasta w pełnym rozkwicie sił, przedziwnej, oryginalnej piękności. Od stóp do głowy otula ją srebrem tkana szata, pozwalająca dojrzeć jeno oblicze, — oblicze surowe, zamyślone, jaśniejące matową białością kości słoniowej.

Zima posuwa się naprzód krokiem wyniosłym, majestatycznym, dochodzi do środkowego punktu polany, staje tam nieruchoma, splata u piersi białe ręce i podnosi ku niebu cudne, ciemno szafirowe oczy. Ze źrenic jej płyną niebieskawe, fosforyczne promienie. Czy są one tylko odbiciem księżycowego światła, czy też oczy majestatycznej niewiasty palą się same przez się tym szczególniejszym, chłodnym ogniem? Zima tonie spojrzeniem w jasnościach firmamentu i zapada w cichą, głęboką, bezbrzeżną zadumę. Twarz jej przybiera wyraz, właściwy obliczom indyjskich fakirów: maluje się na niej wzgardliwe współczucie dla dźwigających brzemię życia i korne zdanie się na wolę losu i spokojne, uroczyste wyczekiwanie nigdy nie zawodzącej nirwany.

Mróz ściska ziemię coraz silniej. Najlżejszy szmer potęguje się nieskończenie w przejrzystem powietrzu. Od czasu do czasu wstrząsa niem huk, podobny do wystrzału — to stare jakieś drzewo pęka od mrozu. Echo powtarza wystrzał kilkanaście razy, a zapadająca po niem cisza, której nie mąci ani jęk skargi, ni krzyk oburzenia, wydaje się tem wspanialszą, uroczystszą.

Jak długo trwała cicha, senna zaduma zimy — trudno określić. Gdy nagle ciepły wietrzyk nadleciał z południa i, lekki, zwinny, pomknął, skradając się ostrożnie, po lesie.

Pod nieśmiałem, ale gorącem jego tchnieniem utworzył się drobny prąd wody w zaśpie śniegowej, potem drugi, trzeci, dziesiąty. Ze zlania się wąskich pasemek powstały niebawem strumyki, a te jęły szemrzeć i torować sobie drogę na świat boży. Podkopana u podstaw, śnieżna piramida zachwiała się i runęła, przytłaczając swym ciężarem młody świerk. Śpiący na jego szczycie kruk zbudził się nagle, wzbił ociężałym lotem w górę i zakrakał głośno, ponuro. Las drgnął, ożył, zaszumiał.

Południowy wietrzyk nabierał stopniowo energji, dokazywał coraz śmielej, dopadł nareszcie królowej zimy i musnął jej lica palącym oddechem. Zbudzona z zadumy, zima spojrzała przed siebie i spotkała się oko w oko ze swoją rywalką, — z wiosną. Ale wznosząca się przed nią postać nie miała nic wspólnego z opiewaną przez poetów wiosną. Nie było to skromne, uwieńczone kwiatami dziewczę o niewinnych turkusowych oczach, o gibkich, nierozwiniętych jeszcze kształtach, — słowem dziewczę, ubóstwiane przez artystów. Nie! przed zimą stała nawpół dzika niewiasta, młoda olbrzymka, z lasem rudych — jak u starożytnych Germanek — opadających bezładnie na ramiona kędziorów. Skóra tygrysia opinała jej biodra, — reszta zaś młodego, jakby ze stali ukutego ciała, świeciła nagością, a kształty tego ciała mówiły o sile nadzwyczajnej, o mocy bezmiernej. Twarz uderzała kontrastem: górna jego część, subtelna i wykwitna, idealną czarowała pięknością, natomiast silnie rozwinięta, kwadratowa niemal broda i cała wogóle część dolna miały w sobie coś drapieżnego, że nie powiem — zwierzęcego. Na pełnych, świetnie zabarwionych ustach błądził nieokreślony, nito ironiczny, nito wyzywający uśmiech. Najdziwniejsze wszelako wrażenie sprawiały oczy wiosny, szmaragdowym mieniące się blaskiem, — oczy słodkie, wabiące, magnetyczne. Malowała się w nich czułość i pieszczotliwość i nieokreślona tęsknota za czemś dalekiem, nieuchwytnem. Chwilami jednak pyszne te źrenice zdawały się zwężać, przybierały ciemną barwę i spoglądały na świat z wyrazem lodowatego cynizmu, jaki świeci niekiedy w oczach starych, lubieżnych satyrów.

Wiosna stała, oparta w malarskiej pozie o skałę, pewna siebie i wzgardliwem spojrzeniem mierzyła rywalkę. Na jej widok cudne, szafirowe oczy zimy zaćmiły się troską.

— Pocoś tu przyszła? — zagadnęła cicho.

Wiosna nie raczyła odpowiedzieć, ani złagodzić zuchwałego spójrzenia.

— Znam cię — mówiła dalej zima, a głos jej brzmiał poważnie i smutnie — wiem, pocoś tu zawitała! Grasz komedję dobroci i czułości, aby tem pewniej zwabiać i uwodzić ła-

twowierne ofiary. I wiem, że to się tobie uda. Nieszczęśni, zakochani głupcy dobrowolnie wpadną w twe sieci, a nawet błogosławić cię będą, dopóki ich nie wyszydzisz, nie zadręczysz. Większość, zstępując nawet do grobu, zachowa tęczowe iluzje i obwiniać będzie raczej wszystko i wszystkich, niż ciebie. Nieliczna zaledwie garstka odgadnie cię, kiedy już będzie zapóźno, zrozumie, jak ja rozumiem, że na imię ci: lubieżność, wiarołomstwo, okrucieństwo! Jedna, jedyna ożywia cię namiętność: — namiętność tworzenia, jej poświęcasz wszystko i wszystkich. Tam, gdzie jest miejsce dla jednego, ty powołujesz do życia tysiące, zgoła się nie troszcząc, że tem samem skazujesz je na niechybną śmierć. Jedwabne twoje słówka obiecują niesłychane szczęście, rajskie rozkosze, wieczną miłość. Ale ty sama, ty pierwsza drwisz z tych obietnic, bo wiesz, że to bajki i wymysły, że szczęścia niema na ziemi, że miłość jest tylko pustym dźwiękiem, a każdą chwilę rozkoszy okupić trzeba własnem lub cudzem cierpieniem. Ale dla ciebie prawda a fałsz — to jedno! — Gdybyś wiedziała, co się działo w tym lesie, kiedym objęła nad nim panowanie! Po ziemi czołgały się napół żyjące trupy, w powietrzu brzmiały jęki i łkania. Tu mucha szarpała się nadaremnie w sieciach pająka, który wysysał jej mózg, — tam dogorywał nadgryziony przez żuka konik polny. Nie mówiąc o mirjadach żyjątek, które zginęły wpierw, nim doszły do zupełnego rozwoju. Ileż pracy kosztowało mię uporządkowanie tego lasu, ile trudu musiałam ponieść, zanim zdołałam przykryć ślady potwornych twoich czynów nieskazitelnie białą zasłoną, zanim ukołysałam bóle nieszczęsnych stworzeń i pogodziłam je z losem! A zgoła innej, niż twoja, trzymałam się przy tem taktyki. Zbyt jestem uczciwa, zanadto dumna, abym uciekać się miała do kłamstwa. Nie opowiadałam więc bajek, nie łudziłam ich nadziejami, które nigdy spełnić się nie mogą, ale stawiałam im przed oczy prawdę, nagą, surową prawdę, mówiąc o śmierci, jako o jedynej ucieczce i ukojeniu jedynem. Przejście zaś od życia do śmierci starałam się uczynić dla nich możliwie bezbolesnem, a potem, obdarzyłam ich jedyną formą rozkoszy, której opłacać nie trzeba cierpieniem: zesłałam im sen i słodkie marzenie senne.

Wiosna słuchała w milczeniu tego potoku wyrzutów, a postać jej wciąż rosła, olbrzymiała, pierś unosiła się coraz burzliwszym oddechem, jaskrawy rumieniec okrył jagody, w oczach zamigotały złowrogie, zielonawe płomyki.

— Dość tego, dość! — wołała zima ze wzrastającem uniesieniem. — Odejdź stąd! Miej litość! Nie budź zgubnych instynktów. Oh, wiem przecież, że w rzeźnię, w siedlisko zepsucia zmieni się pod płomienistem twojem tchnieniem ten niepokalanie czysty, ten cudny mój las! Głód i lubieżność, oto czem obdarzasz wszystkich, kogo przygarniesz do piersi. A potem wszczyna się walka i wzajemne pożeranie. Każdy do jednego tylko celu dąży, każdy pragnie zmódz, pochłonąć bliźniego, aby zażyć chwilowej rozkoszy, a potem wrócić z koleji do nicości. I ty nazywasz to życiem? Stój, piękna pani! nie pozwolę ci dłużej wyzyskiwać łatwowierności nieszczęsnych istot i jeżeli nie odejdziesz stąd dobrowolnie, zmuszę cię do tego!

Królowa zima nachmurzyła surowe brwi, rzuciła na wiatry puchowy swój płaszcz, i wnet zamieć zerwała się w lesie, a płatki śniegu napełniły powietrze. Wiosna cofnęła się o krok, wyprostowała w całej okazałości bohaterską postać, wciągnęła powietrze w młode, zdrowe płuca, chuchnęła w szalejącą zamieć i rozproszyła ją w mgnienie oka. Potem uchwyciła w ramiona zamarzły potok górski, który łączył kryształowym mostem dwa gzemsy skalne, naparła nań piersią, a lody prysły, oswobodzony potok zaszumiał radośnie i w przepaść pomknął, ciskając w powietrze brylanty i perły, które zajaśniały, jak tęczowa aureola, nad głową młodej olbrzymki.

Wiosna osunęła się na kolana, przylgnęła ustami do ziemi i mówiła: — Dość martwego snu! Wstańcie, zbudźcie się, wy wszyscy młodzi, spragnieni życia i jego rozkoszy, wy, co czujecie w sobie siłę do zdobycia miejsca na ziemi. Szranki otwarte! Wstępujcie w nie, walczcie o należne wam prawa!“ A chociaż wymawiała cichym głosem słowa wezwania, jej szept przejmował las namiętnym dreszczem, mknął po ziemi gorącą falą, wypełnił powietrze, wzbił się aż pod niebiosa. I świat cały zaszumiał „zielonym szumem, wiosennym szumem“, — a zima ukryła twarz w fałdach niepokalanego płaszcza i odeszła daleko na północ, aby nie być świadkiem tego, co się teraz dziać tu miało.

Spolszcz. *M. W.*

Wiadomości bibljograficzne.

Encyklopedia ilustrowana wiadomości pożytecznych, wychodząca nakładem Michała Arcta w Warszawie. Zeszyt 17. Manna — Miernictwo.

Flaum M. dr Anatomia głowy ludzkiej wraz z szyją, wykład poglądowy z textem objaśniającym. Warszawa, 1897. w 4—ce, 16, z 5 chromolitografiami i drzeworytami w texcie. 1 rub. 20 kop.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie